

Tematy tygodnia

- 10 Ewa Siedlecka
Sędziowie w pułapce
- 13 Mariusz Janicki
Wiesław Władysław
Wakacyjny stan zawieszania

Polityka

- 16 Ryszard Łuczyn
Wojciech Szacki
Kto zdobędzie duże miasta
- 19 Marcin Kołodziejczyk
Politycy PiS ruszyli w kraj

Społeczeństwo

- 22 Rozmowa
z prof. dr. hab. **Bogusławem Śliwskim**, członkiem
Centralnej Komisji ds. Stopni
i Tytułów, o nadprodukcji
doktorów i klikach
profesorskich
- 26 Dorota Szwarzman
Dominik Połoński – artysta muzyki, artysta życia
- 30 Juliusz Ćwieluch
Całkiem nowe obiekty zamkowe
- 33 Rafał Woś
Azjaci: trzeci świat polskiej pracy

Rynek

- 36 Ryszarda Socha
Bałtyk zabiera brzegi
- 39 Cezary Kowanda
Pesa na zakręcie
- 41 Joanna Solska **Wieś ma dość**

Świat

- 44 Edwin Bendyk
POLSKA-UKRAINA
Plac Kuronia we Lwowie
- 47 Jędrzej Winięcki MADAGASKAR
Wanilia droższa od srebra
- 49 Artur Domosławski MEKSYK
Polityk – zawód śmiertelnie niebezpieczny

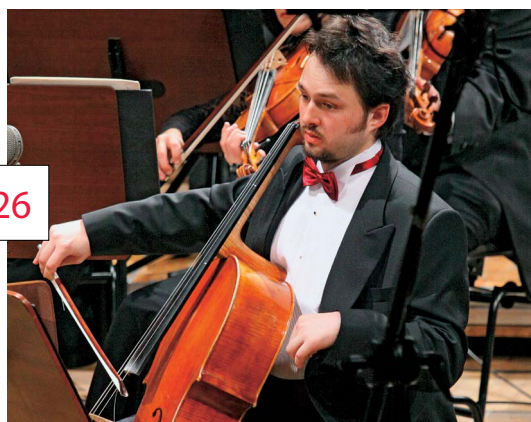
Historia

- 54 Tomasz Targański
250 lat po rzezi w Humaniu
- 58 Jan M. Długosz
Napoleon na Malcie



13

Letnia cisza przed burzą (polityczną)



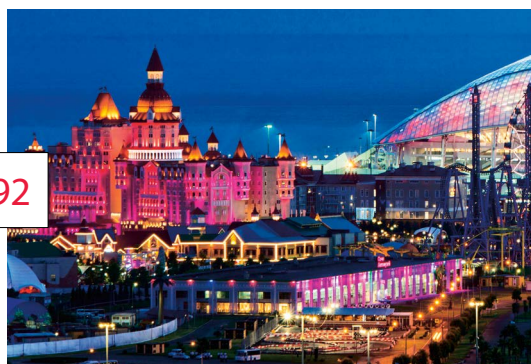
26

Poruszająca historia Dominika



36

Bałtyk w natarciu



92

Wyspa Soczi, czas mundialu

Nauka

- 60 Marcin Rotkiewicz
Czy będzie wolno cię geny?
- 64 Agnieszka Krzemińska
O królu Arturze i malowidłach z Torunia

Kultura

- 70 Piotr Sarzyński
Józef Brandt – wice-Matejko
- 73 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk
- 74 Marcin Zwierchowski
„Westworld”: przerażająca wizja buntu robotów
- 76 Janusz Wróblewski
„Whitney”: prawdziwa biografia gwiazdy
- 78 Adam Krzemiński
Hitler i Stalin powracają... w literaturze

Ludzie i style

- 80 Michał Wieczorek
Incele – mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet
- 83 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 84 Marcin Piątek
Mundial: koniec polskich marzeń

Na własne oczy

- 92 Ziemowit Szczerek
Soczi – nadmorska Moskwa

Stałe rubryki

- 4 Mleczo i Mizerski
• 5 Ludzie i wydarzenia • 66 Afisz
• 87 Passent • 88 Hartman • 89 Tym
• 90 Do i od redakcji • 91 Fusy, plusy i minusy • 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Wielkie pudrowanie

Na Zjeździe Klubów Gazety Polskiej Jarosław Kaczyński alarmował, że w 2017 r. opozycja, „zatraciwszy wszelką miarę i jakże często elementarną przyzwoitość, nie cofała się przed niczym”. Obawiam się, że obecny rok nie będzie lepszy. O dalszej stracie przez opozycję przyzwoitości oraz wszelkiej miary świadczy choćby ujawniony przez nią raport NIK dotyczący wydatków premier Beaty Szydło na makijażystów, w którym pada szokująca kwota 167 tys. zł.

Osobiście uważam, że robiąc w tej sprawie aferę, opozycja zachowuje się niepatriotycznie i pokazuje, że na atrakcyjnym wyglądzie Beaty Szydło jej nie zależy, gdyż jest on jej nie na rękę. Przykre, że w myśl zasady: „im gorzej, tym lepiej” opozycja wołałaby, aby polska premier wyglądała nieciekawie i swoim wyglądem uosabiała Polskę w ruinie. Dlatego uważam, że dobrze, że makijażyści pokrzyżowali te plany, i dzięki ich staraniom oraz wielkiemu wysiłkowi finansowemu całego narodu Szydło zdołała uzyskać wygląd godny, świadczący o tym, że reprezentowana przez nią Polska jest krajem atrakcyjnym i wartym uwagi. Na temat wyglądu Beaty Szydło zdania są zresztą podzielone, bo np. niektórzy Polacy nie kryją, że była premier bardziej podobna im się taka, jaka jest teraz. Pozbawiona kosztownego premierowskiego makijażu, powiadają, odzyskała wreszcie



swoje prawdziwe, bezkompromisowe rysy i stała się bardziej do siebie podobna (co rzuca się w oczy podczas jej wystąpień w Sejmie). Ale inni w pudrowaniu Szydło nie widzą nic złego i są za tym, aby innych polityków PiS także uatrakcyjnić. Interwencja wizażysty przydałaby się np. kluczowym twarzom PiS, takim jak marszałek Kuchciński czy poseł Terlecki, którzy swoim wyglądem źle się kojarzą, odstraszać w ten sposób wiele osób, zwłaszcza dzieci.

Muszę przyznać, że jestem przeciwny pudrowaniu posła Terleckiego i wymyślaniu jego wizerunku na nowo. Uważam, że poseł ten jest bardzo dobrze wymyślony, a elektorat PiS, zwłaszcza twardy, w pełni utożsamia się z jego obecnym wyglądem i go popiera. A ewentualne kompromisy, będące efektem podszeptów różnej maści wizażystów, mogłyby zostać przez ten elektorat potraktowane jako zdrada i mieszanie się w wewnętrzne sprawy Terleckiego.

Jeśli idzie o Kuchcińskiego – twarz polskiego parlamentarzysty – to boję się, że charakterystycznego wyrazu tej twarzy nie zmienią żadne zabiegi. Dlatego popieram słuszną koncepcję Jarosława Kaczyńskiego, żeby zamiast tę twarz pudrować, wymienić ją w przyszłym roku na inteligentne i promienne oblicze posłanki Wassermann, a Kuchcińskiego wysłać do Strasburga, żeby straszył sobą Niemców w Parlamencie Europejskim.

Nawałka



Jerzy Baczyński

Przykro po tym mundialu. Szkoda się nawet wyżywać na piłkarzach, bo grali, jak potrafili, a wyszło jak zawsze, czyli w 2002 i w 2006 r., kiedy też przegraliśmy wszystkie najważniejsze mecze, nie wydostając się z grupy. Tym razem zawód jest jednak większy, bo po eliminacjach mundialowych Polska była tak wysoko w rankingach FIFA, że losowano nas z pierwszego koszyka. To boli, bo ośmiesza. W tym numerze trochę już analizujemy (s. 84) smutny finał polskich mistrzostw i klęskę, sympatycznego skądinąd, trenera. Współczujemy: „totalna nawałka” to będzie jedno z łagodniejszych określeń taktyki i praktyki polskiej reprezentacji na mistrzostwach w Rosji. Najgorsze, że jeśli zawiodło wszystko – jak samokrytycznie przyznają piłkarze i selekcjoner – to znaczy, że nie mamy odpowiedzi, co właściwie się stało. A może po prostu karmiliśmy złudzenia, pompując się biało-czerwonymi zaśpiewami, ekstazą TVP czy spotami przywołującymi na mundial wojów Mieszka i powstańców warszawskich? Sza! – w POLITYCE obiecaliśmy sobie, że ani sukcesów, ani porażek futbolistów nie będziemy mieszać z polityką (choć to Andrzej Duda mówił, że poziom sportowy odpowiada poziomowi kraju). Warto jednak przyglądać się, jak partia rządząca przekłnie i zinterpretuje „porażkę Polaków”; po który z propagandowych schematów sięgnie, by zneutralizować emocjonalnego doła, w jaki wepchnęli nas piłkarze? Jak będzie próbowała zatrzeć publiczne wrażenie, że Polska „znów” jest na kolanach, że cudzoziemcy nami poniewierają i się z nas śmieją? Taki nastrój byłby niebezpieczny, bo może się szerzyć, zwłaszcza że ostatnio jakoś tak przegrywamy na różnych boiskach.

Kiedy my sobie tutaj gadu-gadu o mundialu, właśnie w tych dniach ogłoszono nieformalny akt założycielski nowej Unii Europejskiej. Zdarzyło się to w niemieckiej miejscowości Meseberg, która z czasem może przejść do historii kontynentu tak jak holenderski Maastricht, gdzie w 1992 r. został podpisany traktat tworzący Unię. Wtedy odbyło się to z fanfarami, teraz cichcem, ale zmiana jest fundamentalna. Otóż podczas szczytu Francja-Niemcy Merkel i Macron powiedzieli (co było oczekiwane przynajmniej od wyborów w Niemczech), w jakim kierunku zamierzają prowadzić Europę. Nie ulega wątpliwości, że dziś, tak jak w czasach ojców założycieli, te dwa największe kraje postanowiły niespecjalnie oglądać się na innych. To polityczna, a pewnie też emocjonalna odpowiedź na wieczne, narastające pretensje różnych europejskich rządów, kierowane pod adresem Unii, a zwłaszcza wobec oskarżanych o dominację Niemiec.

Wygłąda na to, jakby Angela Merkel miała już dosyć tłumaczenia się z każdego europejskiego kryzysu, z niefortunnego rozszerzenia Unii, odpierania ataków opozycji wewnętrznej i zewnętrznej, i postanowiła skorzystać z oferty Emmanuela Macrona – powrotu do francusko-niemieckiej wspólnoty, dwuskładnikowego centrum europejskiej konstelacji, wokół którego, w dowolnej odległości i po różnych orbitach, mogą sobie krążyć inne państwa kontynentu.

W deklaracji z Mesebergu znalazło się kilka propozycji istotnie zmieniających znaną nam unijną konstrukcję i mechanikę. Przede wszystkim odrębny budżet strefy euro, na razie jeszcze stosunkowo niewielki, ale potwierdzający głęboki zwrot w polityce Angeli Merkel. Niemcy do tej pory wzdragały się przed formalnym wyodrębnieniem unii walutowej z europejskiej, nie chcąc brać na siebie dodatkowych obciążeń i ryzyka. Przeważała polityka: eurozona to dziś 19 krajów, które w naturalny sposób będą grawitowały w stronę ściślejszej unii budżetowej, podatkowej, bankowej, wspólnego zarządzania kryzysowego. Razem ta grupa ma – w dzisiejszej Unii 28 państw – komfortową większość decyzyjną. Nowa Unia. Dodatkowo w Mesebergu zapowiedziano znaczne ograniczenie prawa weta (także w polityce zagranicznej i – niestety dla nas – budżetowej), a nawet rezygnację z zasady, że każdy kraj musi mieć swojego komisarza w Brukseli. „Unia dwóch prędkości”, którą byliśmy straszeni przez prezydenta Macrona, staje się faktem. Do tego ma dojść jeszcze jedna rewolucyjna zmiana: Rada Bezpieczeństwa UE, czyli załączek lokalnego sojuszu wojskowego – oczywiście w ramach NATO, ale z coraz mniejszą wiarą w lojalność trumpowskiej Ameryki. Rada miałaby dysponować siłami interwencyjnymi UE, także sterować europejską agencją uzbrojenia.

Polska PiS, w punkcie wyjścia, znajduje się tu całkowicie poza boiskiem. Nie jest i nie zamierza być w strefie euro, nie uczestniczy w najważniejszych dziś rozmowach o tym, jak realnie przeciwdziałać niechcianej imigracji. Z powodu zawstydzających zarzutów o naruszanie praworządności i niezależności sądów jest marginalizowana w realnych dyskusjach nad przyszłym budżetem. A także, czego nie jesteśmy do końca świadomi, coraz bardziej wyłącza się z zachodniego systemu bezpieczeństwa. Już nawet nie chodzi o to, jak Antoni Macierewicz zachował się wobec Francji (od caracali po mistrale), która przewodzi europejskim planom obronnym. Gorzej, że stopniowo sami wyłączamy się z NATO. Dewastacja dowództwa wojskowego, systemu szkolenia, załamania polskich, ale będących częścią NATO, planów zbrojeniowych spycha nas na margines Sojuszu (wkrótce napiszemy na ten temat więcej). Zamiast chronić, jak tylko można, konstrukcję Unii i NATO oraz naszą tam obecność i wpływy, rząd snuje jakieś alternatywne „nawałkowe” strategie: Międzymorze, sojusz polsko-amerykański, Wyszehrad-4 czy bukareszteński związek wschodniej flanki B-9. Realne, do czego się zapisujemy, to jakieś nowe Austro-Węgry, czyli antyimigrancki (cokolwiek to znaczy) i prorosyjski sojusz dawnych regionów habsburskiego imperium, pod kierunkiem kanclerza Sebastiana Kurza i premiera Victora Orbána. Nie wiadomo tylko, czy taki był plan, czy tak wyszło? I to pytanie rzeczywiście wiąże polską politykę z kadrą Nawałki.

Jan Koza



© JAN KOZA

Polska w ruinie

Futbol jest logiczny. Reprezentacja Polski, którą selekcjoner Adam Nawałka oparł na zawodnikach mających ostatnio w swoich klubach raczej sporadyczny kontakt z boiskiem, odpadła z mundialu już po dwóch meczach grupowych, prezentując futbol na poziomie poniżej wszelkiej krytyki. Obecność w składzie napastnika światowej klasy Roberta Lewandowskiego, dającego ostatnio odczuć, że jest za wielki na Bayern Monachium, niczego nie zmieniła – dostosował się do miernego poziomu kolegów.

Przedmundialowe przygotowania odbywały się pod hasłem: tajne przez poufne. Zamykane treningi, boisko szczelnie opatulone płachtami uniemożliwiającymi podglądactwo, obsesja trenera Nawałki na punkcie katastrofального w skutkach wycieku informacji, tony banału na konferencjach prasowych. Okazało się, że elementem zaskoczenia miało być prowadzenie gry, do czego Nawałka nie ma piłkarzy, z powodu ich licznych deficytów w technice. Wyszło, jak wyszło: najbardziej tajny plan zaskoczył samych wykonawców.

MP

Więcej w tekście „Ka-ta-stro-fa” – s. 84.



© KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

PiS kroi eurowyборы pod siebie

Na początku wakacji i w środku mundialu, gdy mało kto przejmując się polityką, PiS ogłosił, że chce zmienić ordynację na wybory do europarlamentu.

Skromność w formie (zmiany dotyczą ok. 10 artykułów Kodeksu wyborczego) wynagradza rewolucyjność w treści. Z ordynacji stawiającej na pierwszym miejscu proporcjonalność wyborów robi się coś na kształt większościowej, korzystnej dla największych partii.

Dziś Polska stanowi de facto jeden wielki okręg wyborczy – ponad 50 mandatów europoselskich jest dzielonych na poziomie całego kraju między partie, które przekroczyły 5-proc. próg. Sprzyja to małym ugrupowaniom. W 2014 r. SLD (9,4 proc. głosów), Nowa Prawica Janusza Korwina-Mikkego (7,1 proc.) i PSL (6,8 proc.) zdobyły 13 mandatów.

Teraz PiS chce zejść z podziałem mandatów na poziom 13 okręgów wyborczych; w każdym z nich będzie wybieranych 3–6 europosłów. A im mniejszy okręg, tym trudniej mają małe partie, bo w górę idzie realny próg wyborczy. Dość powiedzieć, że gdyby nowelizacja obowiązywała już w 2014 r., to SLD miałoby trzech europosłów, PSL jednego (dzięki wysokiemu poparciu w jednym okręgu), a Nowa Prawica – zero.

To, co stracą mali, zyskają duzi, a zwłaszcza dominujący w sondażach PiS. Tym bardziej że wpisał sobie do nowelizacji jeszcze jedną korzystną dla siebie zmianę: z każdego okręgu wybieranych będzie co najmniej trzech europosłów. To wzmocnienie reprezentacji wschodnich regionów (Podkarpacie, Lubelszczyzna, Podlasie), gdzie np. w 2009 r. wybrano tylko sześciu deputowanych. Mniej europosłów wybiorą zaś Ślązacy i warszawiacy.

Jak twierdzi nasz rozmówca z obozu władzy, PiS zyska na zmianie ordynacji od czterech do sześciu mandatów. Odniesie także korzyści innego rodzaju. Nowelizacja konserwuje sojusz partii Jarosława Kaczyńskiego z Porozumieniem Jarosława Gowina i Solidarną

Polską oraz zniechęca potencjalnych rozłamowców spod znaku o. Tadeusza Rydzyka.

Podobne korzyści, choć na mniejszą skalę, przypadną Platformie. Też ma szansę na premię w mandatach, a także na utrwalenie dominacji po stronie opozycyjnej. Jeśli na wybory europejskie powstanie koalicja PO z Nowoczesną i PSL, to Grzegorz Schetyna będzie w niej grał pierwsze skrzypce.

Największymi przegranymi nowelizacji będą zaś ci, których jeszcze nie ma. Robert Biedroń, Ryszard Petru, „lista Tuska”, narodowcy – oni wszyscy liczyli, że eurowybory pomogą im się wypromować przed kampanią o Sejm. PiS chce im zawiesić poprzeczkę znacznie wyżej.

No i jeszcze jedno. Skoro PiS uprzyjemnia sobie ordynację w mniej istotnych dla władzy wyborach europejskich, to należy się spodziewać, że już niebawem dowiemy się o podobnych w duchu zmianach ordynacji w wyborach do Sejmu. To, że o tej sprawie jest cicho, nie świadczy wcale, że gdzieś na Nowogrodzkiej nie leżakuje gotowy projekt.

WBS



© STANISŁAW TYM



Księżycowe wizje Morawieckiego

W realizację pomysłów premiera pompowane są publiczne pieniądze. Trzeba o tym głośno mówić i obnażać bezsens tej fanfaronady. To właśnie zadanie dla opozycji.

Na pytanie, czy polityk powinien być wizjonerem, otrzymujemy co pewien czas nowe odpowiedzi. Donald Tusk uważał, że jak ktoś ma wizję, to powinien iść do lekarza, bowiem kluczowe znaczenie ma ciepła woda w kranie. Aleksander Kwaśniewski przeciwnie – doradzał kolegom z SLD, aby w ich rządzeniu było więcej wizji, a mniej telewizji. Mateusz Morawiecki wybrał trzecią drogę – co miesiąc jakaś wizja i od rana do wieczora sławiąca go telewizja (publiczna, oczywiście).

Ostatnio nasz premier postanowił zafundować nam największe w Europie gigałotnisko w Baranowie za 35 mld zł (a może i więcej). Stosowną ustawę w trymiga uchwalił Sejm, a że Senat nie chciał być gorszy, właściwa komisja poświęciła na rozważenie kwestii, czy warto wydawać 35 mld zł, całą godzinę. Opozycyjni malkontenci oczywiście marudzili, że nie przedstawiono ekspertyz, że na wiele pytań nie uzyskali odpowiedzi (np. dlaczego Baranów, a nie Modlin), ale z nimi tak zawsze... Nie rozumieją, że to lotnisko Polakom się po prostu należy! Wzruszona pani senator Czudowska (zgadnij, czytelniku, z jakiej partii?) powiedziała nawet, że: „Ten port to jest coś najpiękniejszego, co się Polsce na początku XXI w. może przydarzyć”.

Muszę przyznać, że i ja się wzruszyłem. Już podrywałem się, aby zadeklarować gotowość do wzięcia w czynie społecznym udziału w niwelacji gruntu pod pierwszy pas startowy, gdy pani senator dodała: „To jest wspaniała inwestycja obok innych projektów naszej formacji”. No właśnie, inne projekty... Wyjąłem z teczki Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju dwa lata temu zaprezentowaną z pompą przez wicepremiera Morawieckiego (mam ją zawsze przy sobie, gdy dopada mnie chandra, otwieram, czytam i zaraz jestem weselszy) i otworzyłem na stronie pt. „Projekt flagowy”.

Pierwszy z nich to projekt „Batory”. Rok temu Mateusz Morawiecki uroczystie zainaugurował, a biskup poświęcił stępkę pod pierwszy prom pasażerski. Nie było jeszcze projektu, nie było pieniędzy, ale stępka już była. Wicepremier Morawiecki ogłosił sukces, zapowiedział, że od polskich promów zaroi się na Bałtyku. Po roku nic się nie zmieniło – nadal nie ma projektu ani pieniędzy, jest tylko stępka, z tym że tknięta rdzą.

Następny projekt to „Lukstorpęda 2.0”, mający na celu m.in. wyprodukowanie polskiego Pendolino. Po roku producent, bydgoska Pesa, zanim jeszcze cokolwiek wyprodukowała, popadła w tarapaty finansowe i została faktycznie znacjonalizowana za pieniądze Polskiego Funduszu Rozwoju, czyli za nasze pieniądze.

Następny wehikuł, który miał uczynić z Mateusza Morawieckiego nowe, współczesne wydanie Eugeniusza Kwiatkowskiego, to projekt „Żwirko i Wigura” – czyli stworzenie z Polski światowego lidera w produkcji najbardziej technicznie zaawansowanych dronów i uzbrojenie w nie naszej armii. I co? I nic. Drony produkują u nas dziesięć firm, dzieci dostają je na komunię i na tym koniec. Antoni M. obiecał wprawdzie zakupy dla wojska, ale że św. Antoni jest patronem rzeczy zagubionych, więc drony dołączyły do równie solennie obiecanych helikopterów i łodzi podwodnych.

Iwreszcie projekt „Elektromobilność”, zgodnie z którym już w 2025 r. po polskich drogach ma jeździć milion wyprodukowanych w Polsce samochodów elektrycznych. Przeprowadźmy krótkie, ale logiczne rozumowanie. Założmy, że fabryka będzie produkować 200 tys. takich samochodów rocznie (tyle np. wynosi produkcja Opla w Gliwicach). Pomijając pytanie, czy ze względu na wysoką cenę takich samochodów w ogóle uda się na taką liczbę znaleźć nabywców – oraz czy jakość tego pojazdu będzie porównywalna z „elektrykami” niemieckimi czy japońskimi – produkcja musiałaby ruszyć najpóźniej w 2020 r., jeśli pięć lat potem po Polsce ma śmigać milion polskich „elektryków”. Tymczasem nie ma ani projektu samochodu, ani projektu fabryki, a wszystkim zajmuje się spółka Electromobility Poland, utworzona przez państwowe (a jakże!) przedsiębiorstwa niemające nic wspólnego z motoryzacją. Jak dotychczas jedynym osiągnięciem jej założycieli po półtorarocznej działalności jest wymiana prezesa.

Nowy prezes ze wzruszającą szczerością poinformował, że „od koncepcji do uruchomienia produkcji najlepsi potrzebują 5 lat”, a także że: „Musimy też sobie odpowiedzieć na pytanie, czy wielkoseryjna produkcja takiego samochodu ma w Polsce sens. I po stronie startujących w postępowaniu zespołów jest udowodnienie, że tak jest”. Czyli mamy wątpliwości, czy to, co robimy, ma sens, ale ponieważ premier powiedział, że ma, więc my to udowodnimy.

W realizację wszystkich tych księżycowych pomysłów pompowane są publiczne pieniądze. Trzeba o tym głośno mówić i obnażać bezsens tej fanfaronady, której pełna jest Strategia (nie)Odpowiedzialnego Rozwoju. To właśnie jest zadanie dla opozycji, mogłaby dla celów takiej analizy powołać międzypartyjny zespół – ale najwyraźniej wystarczy jej (skądinąd potrzebna) krytyka płacowej pazerności polityków PiS. To zdecydowanie za mało.

Prezzydent Duda chce zapytać Polaków, czy pragną żyć lepiej, szczęśliwiej i bezpieczniej. Jeśli pan prezydent tego nie wie, nie powinien ani chwili dłużej sprawować swej funkcji. A tak naprawdę zależy mu na pozytywnej odpowiedzi tylko na jedno pytanie: czy prezydent powinien mieć więcej władzy? Reszta to wabiki na Kościół, na rolników, na rodziców (w tym na ojców), na narodowców, związkowców itp. W sumie wykonano solidny kawał nikomu niepotrzebnej roboty. Są głosy, że nic z tego nie będzie, bo sami politycy PiS mają do tego pomysłu poważne zastrzeżenia. Przytaczana jest wypowiedź Marka Suskiego, szefa gabinetu premiera, który stwierdził, że „nie bardzo rozumie, o co chodzi z tym referendum”. To akurat żaden argument. Fakt, że pan minister Suski czegoś nie rozumie, nie powinno nikogo dziwić, przeciwnie – mogłoby to nawet świadczyć o sensowności projektu. Z tym że prezydenckie referendum to oczywiście nie ten przypadek. Poważni ludzie nie powinni podejmować nad nim dyskusji, bo jakakolwiek dyskusja tylko ten pomysł nobilituje.

Kaczyński namierzył „zdrajców” głosujących (tajnie!) przeciw Karesztowaniu senatora Koguta. Podobno wykorzystał w tym celu nagrania z senackiego monitoringu. Jeśli to prawda, to musiał się na tę prywatną inwigilację zgodzić marszałek Karczewski. Oh, wait..., miałem nie pisać o rzeczach oczywistych.

Niebo nad Erdoğanem

Turecki prezydent wie co robić, nawet jeśli nie uda mu się utrzymać większości w parlamencie.

To niby pełny sukces Recepta Tayyipa Erdoğan. Wygrał w niedzielę wybory prezydenckie już w pierwszej turze (53 proc.), a jego partia wraz z nacjonalistycznym koalicjantem zdobyła większość w parlamencie. Sukces jest tym większy, że wraz z tymi wyborami Turcja przechodzi na system silnie prezydencki, a de facto staje się demokratyczną dyktaturą.

Jedna chmurka zakłóca jednak ten błogostan władcy. Formalnie rzecz biorąc, nawet gdyby Erdoğan przegrał parlament, może już rządzić za pomocą dekretów i dowolnie wymieniać ministrów. Ale dla rasowego populisty to za mało. Może się okazać, że koalicjant z wyborów, czyli nacjonaści z MHP, wymawia mu posłuszeństwo. Wówczas partii prezydenckiej zabraknie prawdopodobnie 8 mandatów do większości w parlamencie. Niby nic wielkiego, po wchodzących w życie poprawkach do konstytucji parlament można ignorować. Ale symbolicznie pojawia się problem, bo jeśli mówi się – tak jak Erdoğan – że cały naród stoi za nim murem, to bunt parlamentu będzie trudno wytłumaczyć.

Tylko że ten wariant Erdoğan też już przećwiczył. Gdy w wyborach trzy lata temu jego partia pierwszy raz nie zdobyła większości, prezydent rozpętał wojnę z Kurdami na wschodzie kraju, zaczął przekonywać, że zagrożona jest jedność państwa, odwoływał się do najniższych narodowych instynktów. I po czterech miesiącach rozwiązał parlament, aby w nowych wyborach odzyskać większość. Ogromne koszty społeczne takiego zabiegu nie odgrywały tu żadnej roli. Jeśli tym razem parlament znów się zbuntuje, można oczekiwać powtórki z rozrywki. Niebo nad populistą musi być czyste.

Napięci i podzieleni

Bezprecedensowe osłabienie kanclerz Merkel może uczynić Macrona liderem Europy.

Unia nie wytrzymuje naprężeń, najwyższa pora, by zaczęła rozwiązywać trapiące ją kryzysy – to morał płynący ze spotkania kanclerz Niemiec Angeli Merkel i prezydenta Francji Emmanuel Macrona. Krajowe kłopoty (niemiecka koalicja chwieje się na tle kryzysu migracyjnego) zachęciły kanclerz, by przystać na niektóre inicjatywy Macrona, mające naprawić Unię i zastąpić wiatr napinający żagle populistów.

Efektem kompromisu jest m.in. propozycja wspólnego wieloletniego budżetu inwestycyjnego dla strefy euro, miałyby zacząć funkcjonować od 2021 r. (dotąd Merkel była przeciw, taki budżet kojarzy się bowiem ze zwiększeniem wsparcia dla zadłużonych państw południa Europy). Szybszej reakcji wymaga jednak kwestia nieuregulowanej migracji. Receptą na jej wyhamowanie ma być uszczelnienie granic zewnętrznych Unii i tworzenie centrów recepcyjnych w krajach, skąd migranci wypływają. Z kolei przemieszczanie się migrantów w strefie Schengen w poszukiwaniu najhjojniejszej opieki socjalnej (z reguły to Niemcy) miałyby ukrócić zasada odsyłania ich do krajów, gdzie po raz pierwszy wystąpili o azyl.

Merkel się spieszy. Na dodatkowym szczycie w Brukseli sondowała, które z państw członkowskich byłyby skłonne Francję i Niemcy wesprzeć. Stawili się tylko reprezentanci 16 krajów najsilniej dotkniętych migracją, zainteresowanych solidarnością w przyjęciu migrantów już obecnych w Europie. Np. populistyczno-prawicowy rząd włoski domaga się kar dla krajów, które nie zechcą udzielić takiego wsparcia.

Szczyt brukselski zbojkotowała m.in. Polska, reszta Grupy Wyszehradzkiej i państwa bałtyckie. „Nie należymy do klubu przyjaciół relokacji uchodźców”, objął tę postawę polski premier Mateusz Morawiecki. Nieobecni tłumaczą się i tym, że pod koniec czerwca o migracji ma debatować szczyt regularny, tu obecność będzie obowiązkowa. Komentatorzy wyciągają wnioski: bezprecedensowe osłabienie pozycji Merkel może wynieść Macrona na lidera Europy. Tworzenie różnych koalicji państw, by radziły sobie z kolejnymi kryzysami, rodzi Unię nie jednej, a kilku prędkości. Co sprawia, że straszenie niemiecko-francuskim kondominium staje się samospełniającą się przepowiednią.

© AP/EAST NEWS

Syndrom tratwy

Kongres Polaków w Szwecji, organizacja uważająca się za głównego reprezentanta Polonii szwedzkiej, nie otrzymała w tym roku tamtejszej dotacji rządowej. Kwota nie jest wielka, ponad 150 tys. zł, ale pozwalała na utrzymywanie ośrodków polonijnych i samego Kongresu. Powodem odmowy jest flirt organizacji wchodzących w skład Kongresu ze szwedzkimi ugrupowaniami nacjonalistycznymi. Otaczały one opieką także Polaków podejrzewanych przez policję o organizowanie ataków na obozy dla uchodźców. Paradoksalnie jedną z organizacji, której zarzucano taką opiekę, jest wchodząca w skład Kongresu Rada Uchodźstwa Polskiego. W wydawanych przez te polonijne organizacje drukach i w mediach społecznościowych prezentowano skrajnie nacjonalistyczne teksty, także antyimigranckie.

Polscy imigranci zapomnieli niejako o swojej przeszłości i angażują się często w poparcie antyimigracyjnej populistycznej partii Demokracji Szwecji, którą wspierają także w wyborach. W ostatnich sondażach przed wrześniowymi wyborami parlamentarnymi i samorządowymi stała się ona największym ugrupowaniem, wyprzedzając tradycyjnych liderów sondaży, socjaldemokratów i konserwatystów. W wyborach ubiega się o miejsca w organach samorządowych ponad setka kandydatów z polskimi korzeniami. Co czwarty z „polskich” kandydatów znajdzie się na listach antyimigracyjnej partii.

Polacy przodują w takich postawach, ale nie są wyjątkiem. Bardzo często uciekinierzy, którzy znaleźli wcześniej azyl w Szwecji, zdają się odmawiać takiego prawa swoim ziomkom. Uważają, że im więcej uchodźców będzie przyjmowała Szwecja (a przyjmuje ich per capita najwięcej w Europie), tym gorsza będzie pozycja ich samych, a już na pewno przyszłość ich dzieci. Jest to swego rodzaju syndrom tratwy ratunkowej, z której spychane są przez już uratowanych kolejne osoby walczące o życie.

Kardynał zawieszony

Kolejny duchowny oskarżony o pedofilię i kolejny kłopot papieża Franciszka.

Szok w Kościele rzymskokatolickim w USA. Kardynał **Theodore McCarrick** (ur. 1930), kreowany przez Jana Pawła II w 2001 r., nie może publicznie sprawować funkcji kapłańskich. Tak postanowił Watykan, gdy specjalna komisja kościelna potwierdziła, że zarzuty o molestowanie seksualne nieletnich ministrantów przez obecnego kardynała są wiarygodne. McCarrick zaprzecza. Ma oczywiście prawo do obrony, ale sprawa już kładzie się cieniem na hierarchię i Kościół amerykański. Media katolickie pytają, jak to możliwe, by przez wiele lat duchownemu uchodziło na sucho, że molestował nieletnich i wchodził w relacje seksualne z osobami dorosłymi. Katolicy zaś zachodzą w głowę, jak pogodzić prywatne zachowanie hierarchy, sprzeczne z zasadami moralnymi głoszonymi przez Kościół, z wysoką pozycją McCarricka w amerykańskim życiu kościelnym i publicznym.

Teraz jego sprawa jest w gestii samego papieża. Po kryzysie pedofilskim w Kościele chilijskim, do którego sam się przyczynił, jego dalsze decyzje w sprawie McCarricka będą ważnym testem wiarygodności. Sprawa zbiega się z innymi. Trybunał watykański skazał właśnie papieskiego dyplomatę, ks. Carlo Capellę, na karę pięcioletniego odosobnienia i grzywnę za posiadanie „pedopornografii”. W Australii szykuje się proces innego kościelnego purpurata: kard. George’a Pella, w związku z podobnymi zarzutami. W Chile tamtejszy episkopat podał się w całości do dymisji na znak pokuty za chronienie drapieżcy



© EAST NEWS

seksualnego w sutannie. Franciszek przyjął dymisję trzech z jego członków. Komentatorzy uważają, że ta sama kościelna „kultura milczenia” działała na korzyść McCarricka. Ale zaznaczają, że coś drgnęło, skoro dziś można publicznie potwierdzić poważne zarzuty przeciwko kościelnemu VIP-owi w randze kardynała, a Watykan zaraz potem zawiesza go w posłudze.

Matura offline

Dwa lata temu egzaminy maturalne w Algierii zamieniły się w farsę: niektóre odpowiedzi pojawiły się w internecie, zanim jeszcze egzaminatorzy otworzyli z namaszczeniem koperty z pytaniami. Wybuchł skandal, z którego władze obiecały wyciągnąć wnioski. Rok później na czas matur unieruchomiono Facebooka, ale tematy mimo wszystko wyciekły i zanotowano takie zjawisko, że spora grupa zdających spóźniła się na egzamin. Tych wyłapano i egzaminy kazano powtórzyć. W tym roku ministerstwo edukacji poszło na całość i wymogło na operatorach sieci całkowite wyłączenie internetu – w całym kraju, po dwie godziny dziennie, na cały czas matur. Przed dwoma tysiącami sal egzaminacyjnych czekały bramki z detektorami, wprowadzono zagłuszacze rozmów komórkowych, a cały stosowny sprzęt elektroniczny abiturientom konfiskowano. Zamontowano też kamery w drukarniach przygotowujących pytania. Tym razem chyba pomogło (były co prawda kłopoty z odlotami na lotnisku międzynarodowym, nagle pozbawionym sieci), ale minister edukacji Nouria Benghabrit ogłosiła sukces. Dla 700 tys. tegorocznych absolwentów to rzeczywiście moment newralgiczny: rynek pracy dla młodych jest w permanentnym kryzysie, studia otwierają trochę więcej szans.

Wcześniej na czas egzaminów wyłączano internet – lokalnie – w Indiach, Etiopii, Iraku i Uzbekistanie, przodujące w nowoczesnej technice Chiny do walki ze ściąganiem na maturach i nadajnikami wykorzystując drony, a w Australii i Nowej Zelandii na wielu uniwersytetach, poza wszelkimi klasycznymi restrykcjami, ostatnio zabroniono wnosić na egzaminy zegarki, bo dzisiejsze zegarki to małe centra szpiegowskie.

Mur bez poparcia

Wobliczu fali oburzenia, w którą włączyła się też prezydencka małżonka, Donald Trump zakazał oddzielania dzieci od rodziców obcokrajowców, aresztowanych za nielegalne przekroczenie granicy. Takie rozłączanie rodzin zaczęło się już dawniej, zgodnie z zasadą, że dzieci nie trzymają się w więzieniu z rodzicami, ale za rządów Trumpa przybrało masowe rozmiary wskutek jego polityki „zerowej tolerancji” dla nielegalnej migracji. Rodzicom zabrano 2300 dzieci, które teraz mają do nich wrócić. Okazało się jednak, że władze są nieprzygotowane na tę sytuację i ponowne łączenie rodzin potrwa miesiącami.

Trumpe używał dzieci jako zakładników, tweetując, że boleje nad ich losem, ale winni są demokraci blokujący uchwalenie praw uszczelniających granice. Kongres pracuje nad ustawą, która ma sfinansować budowę muru na granicy, ale i pozwolić na pozostanie w USA – ustępstwo wobec opozycji – setek tysięcy *dreamersów*, imigrantów, którzy



Okładka tygodnika „Time”: „Welcome to America”.

jako nieletni przybyli tam z rodzicami. Trump, który długo sugerował poparcie dla tego kompromisowego rozwiązania, popieranego przez umiarkowanych republikanów, nagle się z tego wycofał z obawy przed twardym elektoratem. Republikanie, pragnący pochwalić się przed wyborcami, że zrobili coś dla młodych Latynosów, zostali na lodzie.

Tymczasem histeria rozpalona przez Trumpa przeciwko nielegalnym imigrantom rozmiękała się z rzeczywistością. Sondaże wskazują, że coraz więcej Amerykanów, którzy w 2016 r. okazali się podatni na jego natywistyczną retorykę, uważa dziś imigrację, nawet nielegalną, za plus dla kraju i nie chce muru. Bezrobocie spadło do 3,8 proc., a liczba przedostających się do USA przez zieloną granicę

zmalała do rozmiarów z lat 70. Badania wskazują, że przestępczość wśród imigrantów, w tym nielegalnych, jest niższa niż w całej populacji, zabierają oni pracę głównie innym Latynosom, i poza kosztami kształcenia dzieci w szkołach nie stanowią znacznego obciążenia dla budżetu państwa.



ILUSTRACJA IGOR MORSKI

Sądny tydzień 7

Czy Europa obroni polskie sądy?
A może trzeba się pogodzić z tym,
że muszą obronić się same? Przed
polskim wymiarem sprawiedliwości
decydujący o jego przyszłości tydzień.

EWA SIEDLECKA

Za nami przesłuchanie rządu przed Radą Europejską, czyli kolejny krok w procedurze ochrony praworządności. W czwartek rzecznik generalny unijnego Trybunału Sprawiedliwości wyda opinię w sprawie pytania irlandzkiego sądu zmierzającego do ustalenia, czy polski wymiar sprawiedliwości po „dobrej zmianie” spełnia unijne standardy niezależności i niezawisłości. W czwartek odbędzie się też ostatnie przed tzw. wycinką sędziów Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego. Sama „wycinka” (określenie nawiązuje do wycinki

drzew w Puszczy Białowieskiej, której wstrzymanie nakazał Trybunał Sprawiedliwości UE) we wtorek, 3 lipca. Pojawiły się wezwania do stawienia przez sędziów SN czynnego oporu.

Co zrobi Unia Europejska? Władza PiS? Sędziowie?

Unia w sprawie polskiego sądownictwa może postawić na polityczną, niezbyt efektywną ścieżkę procedury ochrony praworządności z art. 7 Traktatu. Ale może też powierzyć sprawę polskiego

wymiaru sprawiedliwości niezawisłemu sądowi, czyli Trybunałowi Sprawiedliwości UE. O ile polski rząd może wywierać dyplomatyczne naciski na Komisję, o tyle na Trybunał nie ma wpływu. Ani on, ani Komisja.

Według wielu obserwatorów to, że Komisja Europejska zdecydowała – dość nagle – przesłuchać polski rząd przed Radą Europejską, oznacza, że postawiła na drogę polityczną. Czyli na „pozostawanie w dialogu z Polską”. Znakiem, że Komisja woli środki polityczne, jest także jej stanowisko zajęte podczas rozprawy 1 czerwca przed Trybunałem w sprawie pytania sądu irlandzkiego: przedstawiciel Komisji argumentował, że europejski nakaz aresztowania – który jest powodem zadania pytania przez sąd irlandzki – wykonuje się automatycznie i nie można badać przy tej okazji gwarancji w Polsce prawa do bezstronnego sądu.

Obywatele nie odpuszczają. Choć nie tak licznie jak rok temu, gromadzą się co poniedziałek pod sądami – przede wszystkim pod Sądem Najwyższym – żeby dać wsparcie sędziom. A przede wszystkim, by skłonić Unię do zaskarżenia do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości ustawy o Sądzie Najwyższym. Listy i apele do Komisji napisali w tej sprawie również prawnicy z uniwersytetów całego świata, byli polscy premierzy, ministrowie spraw zagranicznych i opozycjoniści czasów PRL, Naczelną Radą Adwokacką, a także 120 organizacji pozarządowych oraz polskie i międzynarodowe stowarzyszenia sędziowskie. Komisja mogłaby zaskarżyć ustawę o SN, a Trybunał, w ramach tzw. postępowania zabezpieczającego, zawiesić obowiązywanie jej spornych przepisów, w tym „wycinki” sędziów, do czasu rozpatrzenia sprawy.

Ale poddać ustawę ocenie Trybunału mogą sami sędziowie SN. Ci „wycięci” przez PiS za pomocą obniżenia wieku stanu spoczynku. Mogą, choćby dziś, złożyć własne pytanie do Trybunału Sprawiedliwości, na tle którejkolwiek ze spraw dotyczącej tematyki objętej prawem Unii, którą mają w referacie. Nie pytać o samą sprawę, ale o to, czy jej strony mają zagwarantowane prawo do niezawisłego sądu, skoro skład sędziowski w tej sprawie ustali ostatecznie prezydent, zgadzając się lub nie na ich dalsze orzekanie w Sądzie Najwyższym. I poprosić o zawieszenie przepisów o „wycinie” do czasu rozpoznania sprawy przez Trybunał. W takiej sytuacji Trybunał musi zastosować zabezpieczenie, a więc wstrzymać „wycinkę” sędziów. Sędziowie wiedzą o tej możliwości, ale – z nieznanych powodów – z niej nie korzystają.

Mogą przygotować pytanie prawne nawet w jeden dzień. Natomiast Komisja ma swoje procedury i już nie zdąży sformułować wniosku do Trybunału przed „wycinką”. Ale nawet po „wycinie” wyrok Trybunału w sprawie ustawy o SN byłby bardzo ważny. Gdyby Trybunał orzekł, że kadencje sędziów i Pierwszej Prezes SN przerwano bezprawnie, otwierałoby im to drogę do powrotu.

Trybunał mógłby też zbadać, czy nowi sędziowie do Sądu Najwyższego powoływani są (będą) bez naruszania gwarancji niezawisłości, skoro powołuje ich organ – Krajowa Rada Sądownictwa – składający się wyłącznie z wybrańców władzy ustawodawczej i wykonawczej. Czyli – pośrednio – zbadać zgodność powołania nowej Krajowej Rady Sądownictwa ze standardem niezależności i odrębności władzy sądowniczej. Gdyby Trybunał zakwestionował KRS, powstrzymałoby to „dobrą zmianę” w sądownictwie polegającą na wymianie kadr. Mógłby też zbadać przepisy o skardze nadzwyczajnej i postępowaniu dyscyplinarnym.

Przed „sądnym tygodniem” przybrała na sile antysędziowska ofensywa władzy, skoordynowana z działaniami Krajowej Rady Sądownictwa. Politycy PiS publicznie atakują pojedynczych sędziów i całe środowisko. Premier Mateusz Morawiecki zaprosił Komisję Europejską, żeby zanim oceni reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości, pojechała do Sądu Okręgowego w Krakowie, bo „wszystko wskazuje na to,

że działała tam zorganizowana grupa przestępcza” (wywiad w „Gazecie Polskiej Codziennie” z 13 czerwca, swoje słowa premier powtórzył przed kamerami telewizyjnymi). Sędziowie SO w Krakowie i okręgu krakowskiego wydali najwięcej krytycznych wobec „dobrej zmiany” uchwał. W odpowiedzi na słowa premiera Morawieckiego 13 sędziów, z prof. Adamem Strzemboszem na czele, którzy w stanie wojennym opierali się naciskom peerelowskiej władzy, wystosowało do premiera list z żądaniem wyjaśnienia tych słów. „Nasze żądanie wynika z konieczności obrony dobrego imienia sędziów polskich, które jest systematycznie podważane przez przedstawicieli władz państwowych. Działanie takie obniża autorytet sądownictwa i prowadzi do jego upolitycznienia i uzależnienia od władzy wykonawczej” – napisali.

Z kolei Krzysztof Szczerski, szef Gabinetu Prezydenta, pytany o wprowadzone przez PiS zmiany w Sądzie Najwyższym, stwierdził: „kiedy ustawa o SN wejdzie w życie, skończy się w Polsce bezkarność (...) system sądownictwa był tak skonstruowany, że Sąd Najwyższy (...) był gwarancją, w tym układzie personalnym, pewnej bezkarności niektórych środowisk”. Odpowiedziała mu oświadczeniem Pierwsza Prezes SN Małgorzata Gersdorf: „Nie wiadomo, czy przedmiotowe twierdzenie jest wyrazem braku wiedzy, zley woli, cynizmu, czy też tylko wynika z konieczności narzucenia określonego przekazu w dyskusji nad zmianami, jakie w Sądzie Najwyższym nastąpią po 3 lipca 2018 r. (...) Jest kwestią czasu, kiedy osoby sprawujące władzę ją utracą. Oby wówczas Naród nie chciał oceniać ich działań według niedemokratycznej oraz niekonstytucyjnej miary, jaką sami dziś tworzą”.

Za sędziów niepokornych zabrała się Krajowa Rada Sądownictwa. Wszczęła postępowanie w sprawie rzekomego mobbingowania przez krakowskich sędziów mianowanej przez Zbigniewa Ziobrę prezeski SO w Krakowie Dagmary Pawełczyk-Woickiej, notabene członkini KRS. Wcześniej KRS zobowiązała Komisję Etyki, by przygotowała standardy, na podstawie których można będzie pociągać do odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów wypowiadających się publicznie (tu wymieniono głównie sędziego Waldemara Żurka, byłego rzecznika KRS). A także za wypowiedzi na sali sądowej – tu wymieniono nazwisko sędziego Igora Tulei, który m.in. nakazał prokuraturze wznowić umorzone śledztwo w sprawie głosowania „kolumnowego” w Sejmie (prokuratura bada, czy nie przekroczył uprawnień). Uchwały krytykujące „dobrą zmianę” w sądach, apelujące do KE o zaskarżenie ustawy o Sądzie Najwyższym do Trybunału Sprawiedliwości i wzywające sędziów do opierania się presji politycznej, przyjęły ostatnio zgromadzenia sędziów w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Łodzi i Warszawie (to ostatnie przyjęło też uchwałę w obronie sędziego Tulei).

Brytyjski „The Guardian” opublikował artykuł o sędziach Tulei, Żurku i Wojciechu Łączewskim (skazał Mariusza Kamińskiego za prowokacje w Ministerstwie Rolnictwa), wobec których władza PiS stosuje różne formy nacisku, w tym postępowania karne.

Kilka dni temu rządowe „Wiadomości” ogłosiły – a politycy PiS odpowiednio przed kamerą skomentowali – że sędzia Zurek „ukrył” swoje oświadczenie majątkowe. W rzeczywistości skorzystał z możliwości poproszenia prezesa sądu o nieujawnianie oświadczenia w internecie, podobnie jak wcześniej zrobiło to np. 28 prokuratorów Prokuratury Krajowej czy kilkunastu sędziów. Ma powód: on i jego rodzina stale otrzymują anonimowe pogróżki, a prokuratura od dwóch lat prowadzi w tej sprawie (a także uszkodzenia opon w samochodzie Żurka) nieudolne śledztwo.

Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich po kontroli w Areszcie Śledczym w Rzeszowie potwierdziło, że przetrzymywany tam do lutego był prezes Sądu Apelacyjnego w Krakowie ►